

The cover features a central illustration of a woman with short, wavy blue hair, wearing a blue beret and a matching uniform with a white collar. She is holding a white teacup and saucer. A stream of white steam rises from the cup, swirling around her face. The background is a detailed, stylized cityscape with buildings and a red sky. The overall color palette is dominated by blues, reds, and oranges.

Hafsah Faizal

Krew i herbata #1

HERBACIANY SZTORM



Hafsah Faizal

HERBACIANY SZTORM

Krew i herbata #1

Tłumaczenie
Aleksandra Górczyńska

Tytuł oryginału: *A Tempest of Tea*

Copyright © Hafsah Faizal 2024

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo Nowe Strony, Oświęcim 2024

All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Anna Łakuta

Korekta: Sandra Pętecka, Monika Fabiszak, Barbara Hauzińska

Skład i łamanie: Michał Swędrowski

Projekt oryginalnej okładki: Valentina Remenar, Aurora Parlagreco

Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-480-8 · Wydawnictwo Nowe Strony · Oświęcim 2024

Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
@ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
f Wydawnictwo Nowe Strony
📷 [wydawnictwonowestrony](https://www.instagram.com/wydawnictwonowestrony)
🎵 [nowe_strony](https://www.tiktok.com/@nowe_strony)

*Dla Asmy,
ponieważ jesteś nie tylko moją siostrą,
lecz przede wszystkim moim zdrowym rozsądkiem*





PALACE

PENN'S HOUSE

IMPERIAL SQUARE

CLOCK TOWER

THE ATHEREUM

IVYLOCK STREET

WHITE ROARING SQUARE

COFFEEHOUSE

ADMIRAL GROVE

WHITE ROARING

AKT PIERWSZY
ZEMSTA
JEST
WIECZNA

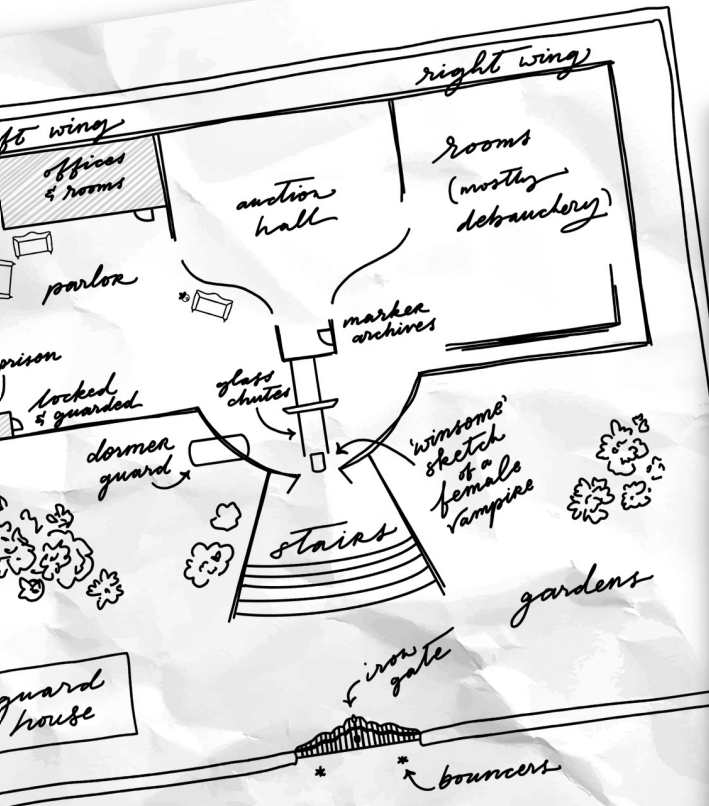
← ARTHIE didn't
let me finish
adding roses

stone →
wall

clock
tower

- Edward
- Sanjay
- Oliver
- Daisy
- Clayton Lambard
- Ronnie Humphries
- Grace Faulk

must locate the ledger within the
within the wretched athenaeum. y over
she's in way over her head if you ask me.
"Which is why I didn't ask you."
delightfully dreadful, she is



guards ↓

no. vivo. docent

the...
 that...
 to...
 growth...
 my home

Athereum marker

numerical code inside





1 ARTHIE

Nocą ulice White Roaring wypełniały kły. Gdy tylko księżyc wyciągnął ku ziemi swoje srebrzyste szpony, a ze sklepowych witryn wyzierała ciemność, złaknione krwi postacie odważnie przemierzały ulice miasta. Lecz Arthie Casimir wcale się tym nie przejmowała. Za nic miała chłód, mrok i wampiry.

Wszak interes musiał się kręcić.

Było już grubo po północy i w dzielnicy fabryk odlewniczych panowała cisza. Iskry, które jeszcze kilka godzin temu rozświetlały wczesny wieczór, teraz tliły się delikatnie w pozostawionych do ostygnięcia węglach. Gdzieś dało się dostrzec brudne kombinezony porzucane przez robotników, którzy po skończonej pracy oddalali się do swoich domów. Kawiarenki, masarnie i zakłady bukmacherskie drzemały spokojnie w oczekiwaniu na świt. O tej porze miasto tętniło życiem tylko za sprawą dwóch rzeczy: krwiożerczości i herbaciarni usadowionej

na rozdrożu dróg oddzielających slumsy od dzielnic możnych i bogatych.

Przybytek zwany Spindrift.

Obiekt dumy i radości Arthie. Z wypolerowanymi, drewnianymi podłogami i wszechobecnym aromatem świeżej herbaty rozlewanej do błyszczących, eleganckich naczyń, dzięki której bogaciła się jej ekipa. Lecz także z sekretami rozprowadzonymi przez jej snobistycznych klientów, niepomnych na kręcące się nieopodal sieroty, które z *całą pewnością* nie zrozumiałyby wyszukanego słownictwa bogaczy i zdecydowanie nie byłyby w stanie ich nikomu powtórzyć.

Ileż by dała, żeby siedzieć tam teraz w środku, zamiast znajdować się tutaj, wystawiona na jesienny chłód.

– Mógłbym pójść sam – odezwał się Jin, zwalnając, żeby zrównać się z jej krokami. Miał proste, gładko zaczesane włosy i niósł parasolkę równie elegancką i schludną jak cała jego postać. Szczupły, o szerokich ramionach spokojnie przemierzał oświetlone latarniami ulice.

– Żebym o świcie znalazła cię, jak nadal papłasz z nim w najlepsze? – Arthie nie miała w zwyczaju odwiedzać klientów, którzy zalegali z płatnościami, ale ten konkretny odprawił z kwitkiem zbyt wielu jej ludzi.

– Z tym Matteo Andonim? – zachnął się, jakby jej sugestia była czymś nie do pomyślenia. – No wiesz, Arthie, mówisz tak, jakbyś w ogóle mnie nie знаła.

Jin dysponował wrodzonym urokiem sprawiającym, że król we własnej osobie usłużnie podsunąłby mu krzesło – gdyby ten obdarzył go jednym ze swoich czarujących uśmiechów – i doskonale zdawał sobie z tego sprawę, dlatego dziewczyna nie kłopotą się z odpowiedzią na jego udawane oburzenie. Wkroczyli do spokojniejszej dzielnicy Alms Place, w której próżno było szukać śladu brudu, a gdzie nie spojrzeć, widniały eleganckie domy z ceglanyimi fasadami.

Przejeżdżający powóz minął umundurowanych mężczyzn patrolujących na końcu ulicy. Jedynym słyszalnym dźwiękiem było parskanie zaprzęgniętych koni, popędzanych przez woźnicę. Stolica Ettenii – White Roaring – rzadko kiedy pograżała się we śnie, lecz teraz, wraz z niedawnymi zniknięciami wampirów i szerzącymi się plotkami, miasto bez przerwy pozostawało w stanie gotowości. Bynajmniej nie dlatego, że ludziom zależało na dobru wampirów. Mieszkańcy drżeli na myśl, że skoro nawet wampiry nie poradziłyby sobie z tajemniczym niebezpieczeństwem, to jakim cudem oni, słabi ludzie, byłiby w stanie je odeprzeć?

Choć te zniknięcia bez wątpienia były alarmujące, Arthie była o wiele bardziej niezadowolona ze zwiększonej liczby strażników Rama Horneda*, zwanych Rogatą Strażą od imienia swojego króla, którzy znajdowali się wszędzie, obserwując czujnie wszystko i wszystkich. Było to o tyle niesprawiedliwe, że skryty za maską Ram mógł obserwować swoich poddanych, podczas gdy mieszkańcy Ettenii nie mogli nawet zobaczyć twarzy władcy, który nimi rządził.

Arthie wsunęła kawałek papieru za kamizelkę i zatrzymała się przed imponującym czarnym ogrodzeniem.

– Jesteśmy na miejscu. Trzysta trzydzieści siedem Alms Place.

– To się nazywa kupa szmalu. – Jin gwizdnął z podziwem na widok znajdującej się przed nimi rezydencji z perfekcyjnie przyściętym trawnikiem.

Bez wątpienia cały budynek przyciągał uwagę: od falbaniastych firan zwisających z okien, po jaskrawoczerwone drzwi wejściowe. To drugie akurat bardzo pasowało do jego właściciela. Mężczyźni wychwalali na ulicach imię Matteo Andoniego, a kobiety szeptem wypowiadały je w swoich łózkach – na długo po jego zniknięciu.

– Nie, to się nazywa gruba przesada. Zachowaj czujność. – Miała gdzieś to, że Matteo Andoni jest uwielbianym malarzem. Jeśli nie jesteś w stanie zapłacić za swoje drinki, nie powinienes pić.

* Ram (z ang.) – Baran (przypr. tłum.).

Przeszli przez bramę, po czym wspięli się po szerokich schodach prowadzących na werandę. Arthie zastukała o drzwi żelazną kołatką. Jin swobodnie oparł się o ścianę, lekko zaciskając dłoń na ręczce czarnego parasola.

Drzwi stanęły otworem, ukazując szczupłego, łysiejącego mężczyznę. Zdawało się, że włosy, które niegdyś mogły znajdować się na jego głowie, teraz umiejscowiły się pod nosem, tworząc gęste wąsy.

– Tak?

Arthie wsunęła dłonie do kieszeni spodni, a światło księżyca padło na schowany w kaburze pistolet. Wolałaby nie strzelać z tej konkretnej broni, ale skoro była ona jedyna w swoim rodzaju, to też nie zamierzała chować jej przed światem. Czasem sam widok pistoletu załatwiał sprawę.

– Przyszliśmy złożyć wizytę panu Andoniemu.

– Późna godzina na pewno nie stanowi problemu – dodał Jin, posyłając mężczyźnie złośliwy uśmieszek.

Lokaj przesunął spojrzeniem po fioletowych włosach Arthie i jej śniadej skórze wskazującej na pochodzenie z wyspy Ceylan, a następnie na krótką chwilę przeniósł wzrok na lekko skośne oczy Jina. Gdy ponownie skupił się na dziewczynie, zwrócił uwagę na jej krótką fryzurę, klapy rozpiętej marynarki, a na końcu na błyszczący łańcuszek doczepiony do zegarka, który bezpiecznie spoczywał w kieszeni jej kamizelki. *Przyglądaj się, ile chcesz, dupku.* Nieważne, ile by na nich patrzył, nie znalazłby niczego, co wiązałoby ich ze slumsami. Jej ekipa mogła pochodzić z najgorszych odmetów White Roaring, ale szacunek, jakim darzono Arthie i jej ludzi, rekompensował ubytki w statusie społecznym.

– Broń? – zapytał lokaj, wyczekująco wyciągając rozwartą dłoń w ich kierunku.

– Nie, dzięki – powiedziała Arthie z uśmiechem. – Mam własną.

– Za to z chęcią napijemy się czegoś ciepłego – wtrącił Jin. – Już wystarczająco długo trzymasz nas na tym chłodzie.

Lokaj sprawiał wrażenie niezadowolonego, kiedy Jin, stukając parasolką o drewniany podest, bezceremonialnie wprosił się do środka, wypelniając całą swoją sylwetką wąski korytarz.

– Bardzo dziękuję za zaproszenie, dobry człowieku. Chodźmy, Arthie.

Dziewczyna uchyliła kapelusza w drwiącym geście podziękowania i podążyła za Jinem do saloniku, w którym przyjmowano gości. Na brokatowych ścianach pomieszczenia wisiały skryte w cieniu półki. Jedynym źródłem światła były nisko ustawione lampy, przez co stół kawowy lśnił tym samym szkarłatnym kolorem co spoczywający na podłodze dywan.

– Wy! – Za ich plecami rozległy się krzyki lokaja próbującego ich zatrzymać. – Wy nie możecie...

– Wszystko w porządku, Ivor. – W pomieszczeniu rozległ się gładki, męski głos.

Rozbłysła zapałka, a jej niewielki płomień oświetlił męczyznę wylegującego się na kanapie, z jedną ręką założoną pod głowę. Miał rozpiętą koszulę i podwinięte rękawy, a sznurki od kołnierza luźno opadały w dół, aż do szczupłych bioder. Żabot udrapowany z przodu koszuli muskał jego nagą skórę. Był to widok, którego Arthie nie zwykła oglądać, mając do czynienia z ludźmi z wyższych sfer. Z zasady nie byli aż tak obnażeni.

– Gapisz się – upomniał dziewczynę Jin, maskując swoje słowa udawanym kaszlem.

Absolutnie się nie gapiła.

– Matteo Andoni – zwróciła się do leżącego na kanapie mężczyzny, ignorując uwagę swojego towarzysza.

Miał piękne, arystokratyczne rysy, charakterystyczne dla Velance – kraju sąsiadującego z Ettenią, co czyniło z niego takiego samego imigranta jak z Arthie czy Jina, z tą różnicą, że on nie musiał o nic walczyć.

– Arthie Casimir – powiedział, naśladowując jej ton głosu, powoli przeciągając słowa. Na jego palcach mieniły się pierścienie:

miedziane i z onyksami. Włosy, czarne i długie, były starannie ułożone tak, żeby wyglądały na niedbale potargane. – Wraz z Ivorem zaczęliśmy robić zakłady. Według niego miałaś się pojawić dwadzieścia duvinów temu. Jak wielu członków należących do ekipy Casimir stawało pod moimi drzwiami, Ivorze? Troje?

– Szescioro, panie.

– Ach. Nigdy nie miałem głowy do liczb. – Matteo machnął leniwie ręką.

Jeśli o jego artystycznej naturze nie świadczyły smugi farb pokrywających jego palce czy peany zachwytu rozbrzmiewające na ulicach na widok jego dzieł, to z pewnością ujawniał ją sposób, w jaki Matteo Andoni spoglądał na świat. W jego wzroku kryła się łapczywość, jak gdyby obawiał się, że umknie mu coś ważnego, jeśli choćby mrugnie.

– Chyba nie muszę dodawać, że Ivor przegrał zakład. – Uśmiechnął się, ujawniając niewielki dołeczek w policzku.

Arthie skarciła się w duchu za to, że zwróciła na to uwagę.

– No widzisz, to teraz możesz wykorzystać swoją wygraną na uregulowanie zaległych rachunków – zaproponował Jin.

– Dokładnie dwieście dwadzieścia cztery duviny. – Arthie skinęła głową.

– Całkiem sporo – skwitował Matteo, a cisza, jaka zapadła po jego słowach, wypowiedziała dziewczynie, że oto nadeszła chwila prawdy. – Wiesz, długo zastanawiałem się, czy ci, którzy przybywają do ciebie, żeby uraczyć się herbatą, są w stanie wyczuć metaliczny posmak krwi, którą podajesz nocą w tych samych filiżankach.

To było to.

Gdy tylko Arthie poznała nazwisko klienta, który zalegał z opłaceniem rachunku, wiedziała, że coś jest nie tak. To nie był mężczyzna, któremu brakowało pieniędzy. Nie, celowo zastawił na nią przynętę, a ona – uzbrojona w garść własnych informacji – przyszła sprawdzić dlaczego.

– Nie wiem, z jakiego powodu cię to interesuje. W końcu kto jak kto, ale akurat ty nie pijasz herbaty w Spindrift – odpowiedziała, nie kryjąc aluzji, która czała się za jej słowami, i podtrzymując spojrzenie Matteo.

– Daj spokój, Arthie – odparł przeciągle, przyglądając się jej poważniej, bardziej czujnie. – Chciałem jedynie cię poznać.

– Zobacz, jakie masz branie – zwrócił się do niej Jin, głosem słodkim jak miód, po czym pstryknął palcami i wyczekująco wyciągnął dłoń ku mężczyźnie. – Nasze pieniądze, jeśli łaska.

Gdy Matteo pochylił się do przodu, Jin mocniej zacisnął dłoń na rączce swojej parasolki. Niepotrzebnie, ponieważ Andoni tylko sięgał po przygotowaną wcześniej sakiewkę z pieniędzmi i rzucił ją chłopakowi.

– Nie zamierzasz przeliczyć? – Zmarszczył brwi w konsternacji, patrząc, jak Jin złapał worek z pieniędzmi i od razu schował go do kieszeni.

– Nie, a jeśli będę musiała ponownie złożyć ci wizytę, zapewniam, że tego pożałujesz – ostrzegła go Arthie. – Nie jesteś aż tak nietykalny, jak ci się wydaje – wytknęła mu.

Matteo usiadł z powrotem na kanapie. Szmaragdowy kolor jego oczu ustąpił ciemnej zieleni, niczym las pogrążony w ciemności.

– Wszyscy mamy swoje sekrety, wszak jest to najcenniejsza waluta na świecie. Prawda, moja droga?

Stojąca na stoliku lampa zamigotała, odbijając światło od znajdujących się za nią przeszkłonych szafek.

Każdy arystokrata miał sporo mrocznych sekretów, począwszy od romansów i wymuszeń, na plugawych układach kończąc, dzięki którym mógł wspiąć się nieco wyżej w hierarchii społecznej. I właśnie pod tym względem Matteo Andoni był prawie nietykalny – *prawie*.

– Wiesz o tym najlepiej, podrzucając wiadomości czy wypuszczając plotki o romansach dzentelmenów, tak aby trafiły do ich żon – dodał Matteo. – Wzniecając chaos.

– Raczej dopuszczając się zemsty – poprawiła go Arthie. – Nie mam żadnego interesu we wzniecaniu chaosu.

A przynajmniej nie bezpośrednio. Za to nigdy nie miała problemu z wyrażaniem swoich prawdziwych zamiarów.

– Semantyka – odparł, wzruszając ramionami.

Nie odpowiedziała, czując narastającą wewnątrz złość.

Matteo uznał jej milczenie za zgodę na kontynuowanie swojego wywodu.

– Wystarczy spojrzeć na to, co oferujesz, czyż nie? Wampiry z łatwością znajdują chętnych do ofiarowania swojej krwi, błakających się po ulicach, ponieważ nic nie daje takiej euforii jak uczucie bycia ukąszonym. A ty postanowiłaś zagarnąć coś, co jest powszechne, a co za tym idzie, bezpłatnie dostępne, zamieniając to w intratny biznes. Kradzież idealna.

– Kreatywność – poprawiła go ponownie Arthie, tężając w środku.

Przed przybyciem do Spindrif i zdobyciem pistoletu była nikim. Zaledwie sierotą żyjącą na ulicy, rzeźmieszkiem walczącym o skrawek okrycia, żeby się ogrzać. W obcym kraju, nie znając języka, z drżącymi dłońmi i oczami wielkości spodków ostro zarysowanych na tle zapadniętej, wygłodzonej twarzy.

– Jak rozumiem, moje interesy zasługują na potępienie, ale już to, czego dopuszczają się ludzie na szczycie, zasługuje na okłaski? Jak na przykład to cholerne przedsiębiorstwo handlowe, które do cna wysysa zasoby ze wschodu?

Matteo zamrugał.

– Wiesz, przeważnie to właśnie tobie przyklaskiwałem.

– Dobrze byłoby, gdybyś zapamiętała... – wtrąciła Arthie, ignorując jego słowa i odwracając się do wyjścia – ...że niektóre sekrety są więcej warte od innych.

– Kto jak kto, ale ty wiesz o tym najlepiej, prawda? Arthie, dziewczyna, która wyciągnęła legendarny pistolet z kamienia – wymruczał w odpowiedzi mężczyzna.

Casimir ani drgnęła. Wszyscy w White Roaring wiedzieli o Calibore – broni, której nikt poza nią nie był w stanie wydobyć. To jeszcze o niczym nie świadczyło. Tylko kilka sekund dzieliło ją od wyjścia z odebrany długi i nieco rozchwianym spokojem ducha. Lecz Matteo jeszcze z nią nie skończył.

– Arthie, dziewczyna, która przybyła do Ettenii w łodzi pokrytej krwią.

Zastygła w miejscu, po czym powoli odwróciła się twarzą do mężczyzny.

Matteo stał z uśmiechem na twarzy, na jego policzku znowu majaczył ten przeklęty dołeczek. Nie sprawiał jednak wrażenia, jakby triumfował. Nie, w jego spojrzeniu błysnęło coś o wiele bardziej niepokojącego. Wyglądał, jakby doskonale rozumiał, przez co przeszła. Jakby był po jej stronie.

Nie mogła na to pozwolić. Nie chciała tego.

Arthie zbliżyła się do niego. Na tyle blisko, by zaalarmować Ivo-
ra, który został zatrzymany przez Jina jednym ruchem parasolki.

– Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego nigdy nie przychodzisz do Spindrift po zamknięciu – zwróciła się do niego, odsuwając temat rozmowy od siebie. Chciała, żeby zdał sobie sprawę, że obserwowała go wystarczająco długo, żeby wiedzieć, kim naprawdę był. – Oboje wiemy, że nie gustujesz w herbacie.

Tak, Matteo Andoni był prawie nie do ruszenia, poza tym jednym, wstrząsającym sekretem.

– Ty... Ty jesteś wampirem – ujawnił prawdę Jin i gwałtownie wciągnął powietrze.

Matteo nie odpowiedział. Był młody, a już na pewno zbyt młody, by jego prace były rozslawione na taką skalę, i to w tak krótkim czasie. Zatem w grę wchodziła nieśmiertelność.

– Większość artystów odnosi sukces na długo po tym, jak ich ciała gniją w grobach. A oto jesteś, niespełna dwudziestoletni, z wyrobionym nazwiskiem i pozycją. Ciekawe, co by powiedziała śmietanka White Roaring – rozmyślała na głos Arthie – gdyby

dowiedziała się, że uwielbiany przez nich malarz tak naprawdę nie żyje. To raczej słabo wpłynęłoby na twoje interesy. Może nawet straciłbyś swoje miejsce w socjocie.

– Nie piśniesz o tym nikomu – powiedział wampir, który nie był ani trochę zaniepokojony odkrytą tajemnicą.

– Niby czemu? – zapytała, chociaż miał rację. Arthie nie sprzedawała tanio swoich informacji. Sekrety są jak dobre wino. Im dłużej leżakuje, tym bogatszy ma bukiet. Natomiast w tym konkretnym przypadku, im dłużej tajemnica pozostanie w ukryciu, tym większej nabierze wartości.

– Ponieważ nie umiesz się oprzeć władzy, jaką dysponujesz, gdy grozisz komuś ujawnieniem jego sekretu. Z kolei jeśli chodzi o mnie – kontynuował, skupiając się na swojej dłoni, w której obracał jedną ze strzykawek pochodzących ze Spindrift, błyszczącą od znajdującej się w środku krwi – wystarczy, że zacznę krzyczeć o twojej nielegalnej działalności, a gwarantuję, że strażnicy, którzy w tej chwili znajdują się na końcu ulicy, bez wahania przybiegną na pomoc. Zabawne, jak szybko mogą się poruszać akurat wtedy, kiedy najmniej tego chcemy.

Potrzeba byłoby czegoś o wiele więcej niż strzykawki, żeby ją pogrzyźć, ale Arthie zawsze wołała dmuchać na zimne.

– Jin – odezwała się dziewczyna.

Chłopak westchnął, rozpoznając jej ton głosu.

– Jak sobie życzysz, mała siostrzyczko. – Jednym ruchem przetrzucił parasolkę do drugiej ręki i sięgnął po rewolwer, który wielokrotnie przypominała mu, żeby wziął ze sobą.

Matteo szeroko otworzył oczy. Arthie musiała przyznać, że lubiła, kiedy mężczyźni się jej obawiali.

– Myślę, że możemy o tym porozmawiać... – zaczął, lecz nie skończył, ponieważ Jin nacisnął spust.

Huk wystrzału wstrząsnął pomieszczeniem. Matteo padł na podłogę, wydając z siebie pełen zaskoczenia okrzyk. Arthie czuła, jak dzwoni jej w uszach. Ciało wampira zaczęło się trząść. Nie

było to jednak spowodowane bólem. Nie, mężczyzna roześmiał się tak głośno, że zadrżały szyby w stojących za nim witrynach. Casimir przyglądała się, jak gęsta krew toczyła się z rany po postrzale. Nie była karmazynowa, lecz o wiele ciemniejsza, co jeszcze bardziej potęgowała porcelanowa bledź jego skóry. Martwa skóra i martwa krew.

– Lubieć tę koszulę – wymruczał Matteo, a lokaj w progu zawył z przerażenia. – Nie martw się, staruszkę – zwrócił się do niego uspokajająco, po czym ostrożnie wydułbał palcami kulę tkwiącą w jego piersi. Skóra wokół rany była sina; wyglądała, jakby tkanka wokół obumarła.

Arthie poczuła, jak narasta w niej współczucie, dopóki mężczyzna nie spojrział na nią i mrugnął zalotnie, jakby właśnie nie leżał w kałuży własnej krwi.

– Wszystkie dobre historie o miłości zaczynają się od kuli prosto w serce – powiedział w zadumie.

– Następnym razem dopilnuję, żebyś pozostał martwy – ostrzegła go. Dziewczynie nie spodobało się wrażenie, jakie wywołały w niej jego słowa. Podniosła strzykawkę.

– Brzydzę się przemocą! – zawołał za nią rozbawiony Matteo.

Wkroczyła na powitą mrokiem ulicę z Jinem u boku. Jeszcze zanim spojrziała na jej koniec, wiedziała, że po umundurowanych mężczyźnach nie będzie ani śladu. Nie dlatego, że Matteo Andoni miał nad nimi jakąkolwiek realną władzę, ale dlatego, że rozpoznała znajome kroki swojego młodego gońca.

Chester wyłonił się z mgły. Z trudem łapał powietrze i przytrzymał się pobliskiej bramy, próbując zachować równowagę. Blond czupryna chłopaka wyraźnie odznaczała się na tle księżycowej poświaty.

– Rogata Straż zmierza do Spindrif. Szykuje się nalot – wykrztusił z przestachem.